TYDZIEŃ
polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi ćwierćrocznie **1 talar**.

№ 12. Drezno, dnia 19. Marca 1871. Rok II.

Z powodu chwilowej niebytności głównego Redaktora, **Kronika tygodniowa** odłożoną być musi do następującego numeru.

Z zabranego kraju.

Duchowieństwo ex-unickie prawosławne. — Czasy Siemiaszki. — Stan teraźniejszy.

Ze śmiercią Siemiaszki, arcybiskupa wileńskiego, wsławionego gwałtownėm i podstępnėm zmuszaniem uniatów do przyjęcia wiary prawosławnej, duchowieństwo straciło osobliwszego dobrodzieja i opiekuna. — Dla przywiązania do prawosławia nowo wcielonych kapłanów, przez jego ręce spływały niezliczone dobrodziejstwa i łaski rządu na ex-unitów. On starał się podnieść u rządu opinię o nich, wprzódy bardzo niekorzystną. Wyrobił nadanie ziemi, niemniej trzydziestu dziesięcin dla każdego proboszcza, a oprócz tego dla przysługi cerkiewnej i znaczne pensje roczne dla wszystkich. — Z jego też inicjatywy zabierano kościoły katolickie i oddawano je prawosławnym. Starał się o budowanie nowych cerkwi tam, gdzie groziły ruiną, w dobrach rządowych kosztem skarbu, w prywatnych kosztem dziedziców, których do tego zmuszano. Był to nowy rodzaj kontrybucji. Oprócz tego kazano stawiać wygodne domy mieszkalne i obszerne zabudowania gospodarskie, wszystko to kosztem obywateli. Gorliwszych i przychylniejszych sobie wynagradzał Siemiaszko fijoletowémi kołpakami, jarmułkami, krzyżami na łańcuchach, orderami a często też i pieniężnėmi datkami, które od rządu wyjednywał. Wszystkie te łaski łatwo wyświadczano w nadziei rozszerzenia prawosławia. Mimo to nie szerzyło się ono wcale, chyba awanturnik a niecnota jaki z gminu przechodził złudzony obietnicami, których nigdy nie dotrzymywano.

Za jego pomysłem, rozkazano proboszczom prawosławnym poszukiwać zrodzonych z małżeństw mięszanych unitów z katolikami, dzieci — i, bez względu na to, że wpierwej małżeństwa te były prawnie dozwolone, z tém iż synowie szli za wiarą ojców, a córki za matką, zmuszano do prawosławia. — Rzucili się popi do wyszukiwania dzieci zrodzonych z małżeństw mięszanych, choćby w trzeciem pokoleniu, gwałtem je, z pomocą policji wcielając do prawosławnego kościoła tysiącami. Im który z nich więcej dla swej parafij zdobył, sowiciej był wynagradzanym. Siemiaszko sam, syn duchownego, mający liczną rodzinę w tymże stanie, podnosił owo pokolenie kapłańskie do dostatków, zamożności, powagi, jakiej za unji nie miało. Dawniej bowiem ani pensji, ani dziesięcin nie posiadali, a grunta, jeżeli który miał, to chyba sznurek włościańskim równy i chatę mało co od chłopskiej lepszą — kontentowali się tém jeszcze, że wolny był z dziećmi od podusznego podatku i od powinności rekruckiej. Zaraz po wcieleniu unji Siemiaszko podniósł seminarja, w których synowie duchownych małym kosztem wychowanie pobierali. A że je on sam, wedle swego planu urządzał, stanęły od razu na wyższym stopniu, niż w głębi Rosji. Następne pokolenie wyszło już w świat z oświatą wyższą i z polorem zewnętrznym, zbliżającym je do innych kraju mieszkańców.

Byt dobry, każdego proboszcza stawił na równej stopie z obywatelem posiadaczem wiosek, zaczęli też i żyć lepiej a wygodniej niż za czasów unji; meblowali domy, stroili żony a córki do instytutów rządowych oddawali na naukę lub mieścili po pensjach żeńskich. Niektórzy nawet utrzymywali guwernantki, uczące je po francuzku, muzyki, śpiewu, tańca, a — języka rosyjskiego — prawdę rzekłszy, bardzo mało, albo wcale nic.

Przy pięknej często twarzyczce, zgrabnej figurce, w stroju jakby z najwytworniejszego dziennika mód wziętym, z wychowaniem staranniejszém i talentami — panienka i rodzice jej spodziewali się i pragnęli karjery, to jest wyjścia za mąż. Może by też nie jedna się była wydała za obywatela, ale Rosjan osiadłych tu nie było, a Polaków odstręczało wyznanie. — Pozostawali więc oficerowie, poczynając od majora a kończąc na praporczyku, który z czasem i szczęściem mógł się czegoś dosłużyć. Dalej szli wszelkiego gatunku urzędnicy, zaczynając od sprawnika, gdyż wyższych stopni gubernijalni radzcy i t. p. nie wyjeżdżają na prowincję. Na ostatku, gdyby oficer i urzędnik się nie trafił, musiały wyjść za popa, od którego broda, spleciona kosa i rasa — wytwornym pannom odstręczały i czyniły go wielce niemiłym.

Mając dom porządnie umeblowany, żonę przystojną, córki piękne, przytem znaczny kapitał i dochody niemałe z parafii, jak nie użyć darów Bożych i nie żyć z ludźmi!

Zręczność ku temu podają święta, prażniki, imieniny. — Tu dopiero przypatrzeć się było można obfitości, porządkowi, dostatkom w przyjęciu gości. Kucharz, od którego z obywateli w sąsiedztwie zamówiony, z gospodynią układają śniadania, obiady, wieczerze i podkurki. Jest drobiu dosyć, zwierzyna, ryby, wędliny i potrzebne przyprawy, znajdzie się kilka choćby tuzinów, Xeresów, Madery (te gatunki ojcowie najlepiej lubią), znajdzie arak i porter, — a w ostatku szampan, bo innym winem nie godzi się pić zdrowia solenizanta, solenizantki, pana sztabs-oficera i marszałka, jeźliby przybyć raczyli. Trafią się czasem wędrowne Czechy, albo kilkunastu

z muzyki pułkowej — a jeźli tych braknie, guwernantka lub powiatowy artysta umyślnie *ad hoc* zaproszony, wyboroie zagra do tańca.

Nadszedł dzień oczekiwany, zjeżdżają się goście zaproszeni i nieproszeni. Stoły zastawiają rozmaitémi zakąskami, słodkiemi wódkami, nalewkami — ale to tylko śniadanie. — Nadchodzi obiadowa pora, występują piramidy z ciast, owoców, cukrów; półmisków zliczyć trudno, a każde danie należy zalać maderą. Gospodarz krząta się około dygnitarzów, którzy dom jego zaszczycili; gospodyni, córki ugaszczają wszystkich, pilnując, aby półmiski pełne nie schodziły, żeby wino w kieliszkach nie wietrzało, proszą i zmuszają do jedzenia i picia.

Skończył się nareście obfity obiad, podano kawę i arak, zmienia się charakter zabawy. Mijamy ustronny gabinet, gdzie niedołęgi przy kilku stolikach zasiedli do preferansa lub gierylasza; w salonie, jeźli nie głos skrzypiec lub trąbki, to fortepian dał znak do rozpoczęcia — od spacerowego kontredansa. Ojcowie duchowni już poważne pozdejmowali rasy, balansują w podraśnikach. Skończył się etykietalny kontredans, następują: *tremblante*, galopada, oberki i mazurki, zabawa nabiera życia — jeden z ojców odzywa się głośno, ocierając czoło — ot to mi zabawa, gdy się człek zagrzeje i pot poczuje. . . .

Możemy pominąć mundury oficerskie, tużurki biurokratów, ogromne dam krynoliny — ale należy się przypatrzeć ojcom duchownym, szczególniej młodszym wiekiem, z jakim zapałem i energiją walcują, tremblują, galopują, jak w mazurze wybijają hołupce — brak tylko ostróg przy butach. Splecione kosy rozwiązały się, bujają na powietrzu, brody się wichrzą, ale nie pora rzucać damę, by je doprowadzać do porządku. Miny buńczuczne i groźne, w kąt by się schował saper francuzki.

Dzwonią na nieszpór? — to godzina herbaty — dzwonią na jutrznię — to godzina śniadania, dzwonią na obiednię, ojcowie zwykle idą przespać się, by sił nabrać, jeźli się uczta ma na drugi dzień przedłużyć — lub rozjeżdżają z rodzinami do domów.

Zdarza się nieraz, iż w czasie zawziętego tańca, po dostatnim obiedzie, tancerz czując jakąś ciężkość w sobie nie przerywa skoków, myśląc, że wiatru nachwytał — tymczasem rozkołysana strawa rzuci mu się nazad, nim pośpieszy wyjść za drzwi, na podłogę a niekiedy i na suknie tancerek. . . . Epizod to wszakże nader krótki, podłogę wytrą, wymyją, zakadzą, damy przemienią toaletę, tancerz spocznie, podraśnik i brodę wymyje, wyczesze, kosę splecie i staje do mazura nieustraszony. Nieświadomy mógłby go posądzić o przebranie miary w napoju — przyczyna inna, prędzej zaszkodzą pomieszane i żarłocznie chwytane potrawy słodkie, gorzkie, kwaśne, słone, do których żołądek nie nawykł. Natura chciwa, „Popie oczy, wilcze gardło, co zobaczy toby żarło,“ w jednem pokoleniu się nie zmienia, na to ledwie kilka starczy.

Dodać należy, iż do roku 1863, rozmowy w rodzinie i w towarzystwach nie odbywały się inaczej jak czystą polszczyzną. Chyba dygnitarz jaki rozpoczął po rosyjsku, wówczas gospodarza obowiązkiem było rozumieć po rusku, choć żony i córki nie odpowiadały inaczej jak po polsku, lub rozmawiały z nim po francuzku.

Rok 1863. na błogi ów stan duchowieństwa nie wywarł takiego wpływu, jak na inne klasy społeczeństwa. Zaszły wszakże niektóre okoliczności, dawny sposób życia i stosunki znacznie zmieniając. Urzędników powiatowych Polaków oddalono wszystkich ze służby; oddalono nawet dawniejszych prawosławnych pod pozorem, iż się nadto zażyli z miejscowymi. Zaczęto nasyłać z głębi Rosji tak zwanych Humanów (Gamanów). Nazwanie to oni sobie sami nadali, przekręcając łacińskie (humanitas — humani) i powtarzając do zbytku — Ja Human — ja liberał! — Tysiące takich humanów z głębi Rosji, z różnych gubernij, napłynęło w kraje zachodnie i do Polski. Z pewnością rachować można, iż z nich trzy czwarte są ze stanu duchownego, czwarta część ledwie z oficerów, z armji lub kancelistów, którzy się dosłużyli rangi klasowej. Rzadko tu kto ze szlachty, z dworzan się trafił. Wszyscy oni pozajmowali wyższe miejsca i przybyli z poleceniem, aby kraj „obrusit',“ zruszczyć.

Zdolniejszych, ogładzonych zostawiono w probowskich juryzdykcjach, resztę porozsyłano na powiaty, nie starając się bynajmniej przekonać do czego kto był zdolnym. Jak w wojsku rozdysponowano, ty będziesz cyrulikiem, ty krawcem, ty szewcem, ty muzykantem i t. p. Każdy z nich został ozdobiony gwiazdką na furażerce, jako urzędnik, a gwiazdka mu wierszek wzrostu dodała i ramiona zaraz do góry podniosła.*

Ponieważ pomiędzy niemi przeważającą jest liczba popadinków, wkrótkości wspomniemy o ich pochodzeniu, wychowaniu domowém i edukacji.

Tak jak u żydów w starym zakonie było pokolenie kapłańskie, nie łączące się z innémi, tak i w Rosji od przyjęcia wiary chrześciańskiej utworzyło się pokolenie osobne popów, w późniejszych czasach nazwane stanem duchownym. Ta tylko różnica między niemi zachodzi, że u żydów było pokolenie to w poszanowaniu, a tu jest w pogardzie. Duchowieństwo dzieliło się na dwa rodzaje, jak Rosjanie powszechnie nazywają, białe i czarne, czyli świeckie i zakonne. Świeckie odbywa posługi parafialne i jest rozkrzewicielem mnogiej rodziny, od niego pochodzą wszyscy popi; — zakonne, zwane monachami, przedstawiają stan wyższy, oświeceńszy stopień, dla którego bezżeństwo jest obowiązkiem, z niego tworzą się metropolici, archiepiskopi, archireje, archimandryci i humenowie. Rzadko kto z powołania zostaje mnichem, najczęściej po seminarjach biskupi, chcąc się otoczyć zdolniejszémi, wybierają i naznaczają uczących się lepiej przy święceniu. — Dysponuje się wprost tego zostawić w monasterze — ten lokajem będzie, ten kucharzem, ten stróżem, reszta protegowanych idzie na kapłanów, dijakonów, parafijalnych i pułkowych księży. —

Przed laty trzydziestą kilku widziałem niejednokrotnie seminarija, niektóre mające przeszło po 600 uczniów. W letnią porę w lekkich chałatkach, boso spieszyli do nauki, zimową porą w półszubkach oszarpanych, onuszkach sukiennych i łapciach . . . biegali do murowanego gmachu . . . uczyć się uczyć.

Zwróćmy uwagę na duchowieństwo po wsiach, bo w miasteczkach ma ono więcej środków do nieco lepszego utrzymania. W każdej prawie wsi mającej sto osady jest cerkiew a przy niej proboszcz, dijak, panamar i dijaczek. Uposażeni gruntem cale dużem, po kilka dziesięcin — pensji żadnej. — Widziałem cerkwie mające po trzy komplety duchowieństwa; dwóch poprzedników jako emerytów, trzeci rzeczywisty proboszcz — i wszyscy mieli familije i nędzne domki własne, żyli z familijami z pobieranego jak żołnierz prosty kilku czetwertek rocznie i sześciu rubli pensji. — Do cerkwi wstępu nie mieli żadnego, bo proboszcz rzeczywisty ich nie wpuszczał, aby sobie kilkunastu kopiejek dochodu nie przywłaszczyli, który mu z prawa należał. — Rzeczywistych i wysłużonych opłakane życie. Sami grunt obrabiać musieli i zbierać z pola, żony i córki najprostsze roboty wykonywały. Ubiorem nie różnili się od najuboższego chłopa. Długie włosy splecione ztyłu i związane, oznaczały że był duchownym. — Zwykle obarczeni liczną familją żyli w większej nędzy od każdego chłopa, a na nieszczęście byli w pogardzie u nich, bo chłop miał za złą wróżbę, gdy pop lub kto z jego rodziny wszedł do jego chaty. — Ubóstwo a niedostatek doprowadzały do nałogu pijaństwa, a że pijaństwo pozbawia miejsca i prowadzi do występku, następnie do więzienia, odsyłano ostrzyżonego na wygnanie w Sybir. — Rzadka partja aresztancka, któraby nie miała postrzyżonych popów. — Zesłany często uważał się w swoim nowym bycie za szczęśliwszego, niż gdyby w duchownym stanie pozostał. Po wojnie w 1812. i w 1832.

---

* Że nie przesadzam ilości nasłanych dzieci duchowieństwa, *vulgo* popadinków na różne urzęda w gubernije zachodnie, mogę zaręczyć i podać bym mógł z imienia i nazwiska tych, którzy do jednego powiatu od r. 1863 przybyli, a za pijaństwo, kradzież, nadużycia popełnione na urzędach, wypędzeni zostali, lub mając protekcje zostali poprzenoszeni.

Polaków wydalono zajmujących urzędy powiatowe do sekretarza — 19. Na ich miejsce osadzonych i zmienionych było sprowadzonych do roku 1869 miesiąca Listopada osób 37. Z tych postąpiło na wyższe urzędy — 7. — Popadinków między wygnanymi i urządzającymi 32. — Stało naczelników, buchalterów, protokolistów i duchownych 13. — Nauczycieli w szkole powiatowej i parafialnych 14. — Okazuje się, że popadinków było wysłanych do powiatu 51 osób.

carowie odzywali się do duchowieństwa — by ze stanu swego ofiarę uczyniło osobistą służbie wojskowej. Po kilkadziesiąt tysięcy za każdą razą dano rekrutów, a że byli umiejący czytać i pisać (hramotni), służyło im prawo, po wysłudze lat dwunastu, postąpić na oficerów. Tym sposobem zbogaciła się armja rosyjska Popowemi, Djakowemi, Bohorodskiemi, Pokrowskiemi, Wozniesieńskiemi i t. p.

Za panowania Mikołaja dozwolono z seminarjów pewną liczbę uczących się uwalniać ze stanu duchownego, jako zdolniejszych, i chodzić na kursa medycyny, matematyki i t. p. w uniwersytetach. Z tych to uczonych utworzyła się a raczej zawiązała pewna klassa ludzi w stowarzyszeniu nihilistów. — Gdy Murawiew zaczął swoim sposobem i zwykłémi mu przekonywającémi środkami śledzić, wysłano część małą na Sybir, bo nie wielu pochwytano, reszta wyrzekła się nihilizmu, przejęła charakter gorliwych reformatorów w gubernjach zachodnich i Polsce, starając się zruszczyć te kraje i nadając sobie nazwanie nowe: Humanów. — Zaszczyceni jeżeli nie pierwszą rangą 14 klassy, to choć gwiazdką na czapce, przybywszy tu, myśleli, że w stanie duchownym znajdą najgorliwszych zwolenników, serca dla siebie i drzwi domów gościnnie otwarte. Pierwsze stosunki i znajomości porobili z popami; gromadnie zaczęli najeżdżać domy proboszczów. Jako synowie duchownych, obeznani z rzemiosłem, zaczęli krytykować, że ich ojcowie nie tak chrzczą, śluby dają, odprawiają panachidy, a nawet i msze w głębi Rosij, jak tutejsi księża. W początkach przez grzeczność i lepsze nieco wychowanie proboszcze milczeli, ale gdy się te krytyki coraz częstsze i ostrzejsze stawały, a humani nastawali jako urzędnicy, odpowiedziano im, że do cerkwi powinni się iść modlić, a krytyka do nich nad porządkiem nabożeństwa nie należy. Inni żądali, ażeby na cmentarzach około cerkwi poobalać krzyże kształtu katolickiego. Odpowiedziano im, że księży obowiązkiem było i jest: krzyże święcić i stawiać, a nie niszczyć. Kazano gwałtem spędzonych katolików, zrodzonych nie z matki i ojca unjatów i katolików, ale z babek i prababek, dziadów i pradziadów, chrzcić na prawosławie. Niektórzy popi pytali spędzonych, czy mają dobrą i nieprzymuszoną wolę zmienić obrządek, a otrzymawszy odpowiedź, iż są zmuszeni, chrzcić ich nie chcieli. Pytali tedy humani: czemu ich nie chrzczą? — odpowiedziano, że nie mogą chrzcić tych, którzy nie chcą. Wiele podobnych zajść było i popi się energicznie dosyć stawili. *

W domach popów tutejszych nie podobało się humanom przyzwoitsze obejście i formy wyszukańsze. Chciało się im grać tu pierwszą rolę między gośćmi, jako urzędnikom carskim. — Popki umieją się na ludziach poznawać, — wiedzą jak kogo przyjmować, kto czego wart. Po obiedzie, po herbatce, zawcześnie zapraszają do spoczynku, a ichmościom tym chciałoby się zabawić po narodowemu, zaśpiewać miłą pieśń narodową, popić gorzałki, zatańczyć ruską plaskę lub byczka. Tymczasem gospodyni i córki nie mówią po rusku i niechętnie się bawią z przybylcami; wynoszą się więc rychło, zostawując gospodarza domu, ażeby gości przybyłych bawił, dopóki nie pojadą. Żadna z nich nie zaśpiewa pieśni ruskiej, ani tańca na fortepianie nie zagra. Zamiast zabawić się po narodowemu, rozweselić, popląsać, znudzeni wcześnie wyjeżdżać muszą, a — co gorzej — trzeźwi. Za to po drodze wstępują do szynku i wypiją sobie po kwarcie, żeby weselej było wracać do miasta.

Po tak smutnych doświadczeniach, nie znalazłszy tu nic narodowego, zimno przyjmowani przeż tych, od których się spodziewali gorącego i serdecznego przyjęcia, uległości i zastosowania do ich nawyknień — humani zdecydowali, że duchowieństwo prawosławne gubernij zachodnich, nie jest wykształcone (obrazowanne) na sposób ruski.

Nie przestając na szerzeniu tej opinji pomiędzy sobą, podawali artykuły do gazet ruskich, opisując domowe pożycie duchownych, wystawne a niegodne z powołaniem duchownego prawosławnego. Wspomnieli o wydawaniu córek, o muzyce o francuzkich książkach, mowie — i zdecydowali, że to wszystko szkodliwe jest dla wiary prawosławnej, dla Rosji, a szczególniej dla zruszczenia kraju. — Dopóki żył Siemiaszko, nikt nie śmiał wdawać się w sprawy duchowne jego dyecezji, pod każdym względem kapłan u niego znajdował poparcie. — Następca jego Makary, jak jest uprzedzonym o duchowieństwie zachodniem, czas późniejszy jego zarządu okaże. — Pogłoski krążące już wielce zaniepokoiły duchowieństwo. — Głoszą że mają nastąpić zmiany następujące. — Parafije mają być nie mniejsze nad tysiąc dusz (dziś są po 500, po 300 a nawet i mniejsze od tych). Gdzie cerkwie drewniane grożą ruiną, mają się kosztem parafijan budować nowe. Zaczęto murować w wielu miejscach nowe (których budowy, żydzi się przez podrad podjęli), ukończyć się mają kosztem parafijan, rząd zaś summy na budowę obiecane — cofa. — Do dziś dnia probostwa podzielone są na kilka klas i pensje proboszczów nie równe — nadal mają być nie tylko porównane, ale zastosowaną zostanie wysokość płacy do pobieranej w Rosji. Z uposażenia teraźniejszego po trzydzieści dziesięcin, zostać ma tylko trzy dziesięciny, reszta zaś ma być odjętą, ażeby gospodarstwem nie zajmowali się do zbytku, a więcej pilnowali swych obowiązków.

Skasowane być też mają „pryczoty,“ zwała się tak obsługa cerkiewna składająca się z djakona, djaczka, panamora, proskurnicy, na których były osobne pensje. Probostwa uzyskiwać nadal będą mogli tylko ci, którzy otrzymali stopnie akademickie. Ci którzy ich nie będą mieli do lat trzydziestu, pozostaną dijakonami, z możnością późniejszego wyświęcenia na kapłaństwo. Tylko synowie proboszczów mieć będą prawa szlacheckie (na prawach dworian) i wolni zostaną od podatku podusznego i poboru rekruckiego. Jedną z najdolegliwszych i najmocniej zastraszających pogłosek jest ta, że ci którzy utracą probostwa i pozostaną w oczekiwaniu posady (za sztatom) będą wysyłani na wakujące probostwa w głąb Rosji. — Ci też, którzy otrzymają święcenie wysyłani będą, a do gubernji zachodnich w zamian zostaną przeznaczeni zrodzeni w staroruskich guberniach.

Trudno sobie wystawić jakie wrażenie uczyniła ta ostatnia szczególniej wiadomość na duchowieństwie gubernji zachodnich. Żony i córki w rozpaczy, że im przyjdzie opuścić domy w których się urodziły i zrosły. Dodać tu wypada, że niektóre rodziny od trzech wieków posiadają probostwa, w których nieodmiennie syn po ojcu następował, a uważali je niemal za dziedzictwa swoje. Wiadomości nadchodzące grożą i martwią — ale szczególniej ostatnia, że przyjdzie nie jednemu opuścić miejsce urodzenia z żoną i dziećmi — doprowadza do rozpaczy wszystkich. Mówią — wyrzeklibyśmy się ich dobrodziejstw, łask świadczonych, byle nas zostawili w pokoju — byle nas nie wyganiano w obce strony. Z nas niech teraz biorą przykład unici w królestwie polskiem, chętnie przyjmujący reformy — co ich też na przyszłość czeka. Rząd teraz dobrodziejstwa świadczy i łaski świadczy. Tak i nam obiecywano, uposarzono, nagradzano gorliwość — a teraz postępują jak ze zbrodniarzami, przestępcami. Wam też los podobny jest zgotowany. Żyją jeszcze niektórzy, co przymuszeni byli do przyjęcia obrządku prawosławnego, zamiast błogosławić Siemiaszkę, przeklinają sprawcę wszystkiego złego, które ich ma dotknąć!...

* W jednym z powiatów przerobiono kościół katolicki na soborną cerkiew, zjechał na poświęcenie jej archirej czyli biskup. Na ugoszczenie jego i świty nakazano składkę z obywateli powiatu wyznania rzymsko-katolickiego. Humani ofiarowali bardzo mało, duchowieństwo jeszcze mniej. — Po nabożeństwie utrudzającém, po sutym obiedzie, celebrujący, obarczony wiekiem i pracą, u miejscowego zwierzchnika duchownego chciał odpocząć i rozmówić się w sprawach duchownych. Humani zaprojektowali, wedle swego narodowego obyczaju, uweselić biskupa. Zebrali śpiewaków (nie jeden z nich samych był w młodości cerkiewnym piewczym) i zaczęli przed mieszkaniem archiereja śpiewać. Dziekan wyszedł i przepędził śpiewaków. Humani zapytywali, czemu nie dopuścił im uweselić prawoświaszczeństwa? — odpowiedział im, że to nie pułkowy praźnik, żeby sobie dali pokój. Wielkie z tego nieukontentowanie, że się tak obszedł grubijańsko.

Korespondencye.

Listy z Pustkowia.

I.

Macie już w „Tygodniu“ swym Listy Pustelnika, szanowny autor ich mógłby mnie więc posądzić, że pisząc „Listy z pustkowia“ zamierzam z nim rywalizować. Nie — puszczać się z szanownym Pustelnikiem w zawody nigdy nie zamyślałem; na to słabe me siły i nowicjat mój w zawodzie literackim nie pozwalają. Datując zaś listy me „z pustkowia,“ chcę tylko wyrazić przez to, iż tak, jak i on, jestem pustelnikiem; życie bowiem Polaka wśród żywiołu zionącego jadem, wrodzonej ku niemu nienawiści, równa się w najlepszym razie życiu na pustkowiu. I mnie zagnały losy na takie pustkowie, i ja, choć w otoczeniu kulturtregerów, cywilizatorów i myślicieli par excellence, coraz więcej dochodzę do rezultatu, że życie Polaka wśród obcego żywiołu, to taki nonsens, jak gdyby kto orła, mieszkańca dzikich skał, chciał zniewolić do usłania gniazda n. p. w cytrynowych gajach Italji. Ta tylko zachodzi tu różnica, że podczas gdy orzeł, ulegający prawu konieczności wewnętrznej, nigdy nie uściele gniazda w cytrynowym gaju, człowiek wolnością obdarzony zastósować się umie, choć ze wstrętem, do konieczności zewnętrznej.

Tak i ja więc poddałem się *dirae necessitati*, którą jednakowoż osładza mi komunikacja z bracią, choć tylko za pomocą martwej litery. Tym sposobem każde tętno życia narodowego i dochodzi i w mojem odbija się sercu.

Tyle jako wstęp do listów mych, które w dowód wdzięczności za ofiarę, jaką mi zrobiliście z „Tygodnia“, od czasu do czasu przesyłać Wam zamyślam, a dla których znajdziecie może w piśmie Waszem jaki kącik otwarty.

* * *

Niepomiernie ucieszyłem się, widząc jak „Dziennik poznański“ w dobrze pojętém zadaniu dziennikarstwa naszego, sprawy domowe na pierwsze wprowadza pole, w drugim dopiero planie oddając się wielkiej polityce. Sposobność do tego podały mu zbliżające się wybory. Snują się w sprawie tej artykuły, korespondencye jedne po drugich, rozbudziło się w Księstwie życie, że to aż miło patrzeć — choć zdaleka. Tymczasem jak w „Panu Tadeuszu“ do muzyki Jankiela wmięszał się przejmujący dreszczem dysonans oznaczający Targowicę, tak i tu wśród harmonijnego solidarnością akordu korespondencji „z Prowincji“ zgrzytło „oświadczenie duchowieństwa,“ tylko że agitacja ks. prałata i protonotarjusza apostolskiego Koźmiana i ks. Stagraczyńskiego nosi na sobie cechę niedołężności, podczas gdy Jankiel wydobył dysonans swój z artyzmem wirtuoza. Nie widzę zresztą potrzeby szerzej o sprawie tej rozpisywać się; pisano o niej już wiele, może za wiele. Może zresztą agitacja ta podjętą została w jak najlepszej chęci — celem pojednania zwaśnionych żywiołów, polskiego i niemieckiego; bo otóż co pisze korespondent „Aus der Provinz Posen“ do jednego z arcyniemiecko-ultramontańskich dzienników: „Die *deutschen* Katholiken Posens werden dem „Tygodnik katolicki“ für sein Auftreten sicher Dank wissen.“ Zaszczyt to dla „Tygodnika katol.“ nielada! Z tém wszystkiem jednak uchylamy czoła przed ks. radzcą Bażyńskim, który, w pierwszej chwili nie spostrzegłszy się, oszołomiony podpisał niefortunne „oświadczenie duchowieństwa“ jako pierwszy, pierwszy też — bo spodziewamy się, że za jego przykładem pójdą inni — podpis swój cofnął w „Dzien. pozn.“

Lecz dość już o tém. Widzieliśmy z powyższego cytatu niemieckiego, że po raz pierwszy czasopismo polskie odebrało od Niemców votum zaufania; zobaczmy, jakie zaufanie dla siebie wzbudzili Niemcy przez postępowanie swe w Polakach.

Niedawno temu zamieścił „Dziennik pozn.“ korespondencję w sprawie uniwersytetu w Poznaniu. Korespondent dziennika wzywa Polaków i Niemców, aby w sprawie tej podali sobie ręce i wspólne rozpoczęli kroki. Z tej okoliczności odebrał przyjaciel mój od obywatela pewnego z Księstwa list, który mi przesłał do dowolnego użytku. — List ten brzmi:

„W jednym z ostatnich numerów dziennika spostrzegłoś bez wątpienia korespondencję z nad Bałtyku. Jeżelibyś może zobaczył się z autorem tej korespondencji — (nota bene autorem tym jest ten sam przyjaciel mój, któremu list ten zawdzięczam) — to mu powiedz, że jakiś bezbożnik, który nie wierzy ani w Koźmiana, ani w korespondenta „Czasu,“ ani w Morawskiego, ani w dogmat trzech kapituł, był tak zuchwałym, dopuścić się niesłychanej herezji, twierdząc, że wiara w życzliwość Niemców dla Polaków nie jest do zbawienia potrzebną. Czyż zresztą korespondent, robiący jakoby wyrzuty najukulturowańszemu z narodów, nie był powinien wiedzieć, że kultura o nikim nie zapomina, a o Polakach szczególniejszą ma pieczę, i ile razy tylko chcą słuchać wykładów uniwersyteckich, chętnie im otwiera audytorja w Moabicie i Hausvoigtei, zwołując dla nich świetniejsze może jeszcze grono profesorów, jak znaleść je można w cytadeli warszawskiej? — Jeżeli Polacy i w innych zakładach naukowych, jako to w Wisłoujściu, Magdeburgu i t.d. swoje studja odbywać mieli szczęście, czemużby nie miano zgodzić się na Poznań, jako miejsce uniwersytetu dla nas Polaków? Niebawem też mają zacząć w Poznaniu budować uniwersytet na wielką skalę; audytorja jednego fakultetu mają być wysunięte aż za Jerzyce; gdzie drugie staną, dokładnie powiedzieć ci nie umiem, tyle tylko wiem, że staną około milę za murami miasta. Ciesz się korespondencie, że Twoje życzenia tak wnet staną się rzeczywistością!“

Tak sądzi o uniwersytecie w Poznaniu obywatel z Księstwa. Tymczasem zapisać wypada, że sprawa ta rzeczywiście podjętą została przez reprezentantów miasta Poznania na posiedzeniu z 15. Lutego, którzy przekazali ją magistratowi, celem podjęcia stósownych do osiągnienia celu kroków i wygotowania projektu.

Hilarjon Gleba.

Przechadzki po Europie.

(List z Wiednia.)

I.

Styczeń, 1871.

(Dokończenie.)

Jeszcze jeden obraz Valaperta Franciszka z Florencji (108), wyobraża ciało króla Manfreda Sycylijskiego po bitwie pod Benewento z grobu wyrzucone, w śmiertelnej nagości, dla szyderstwa purpurą nakryte — wyraz twarzy woskowo pośmiertny jeszcze pełen szyderczej pychy — a brzegi mórz z za krawędzi skał w nieskończoność błękitniejące — świadki błędów i nieszczęść jego, one co tyle pamiętają — zdają się szumieć głosem nemezy dziejowej. . . . Różnie sądzą o tém obrazie — śmiałości i niepospolitego traktowania nikt mu nie odmówi. Są też trzy rzeźby z Mediolanu p. Argenti — Skromność, biust marmurowy, — Nadzieja, biust — i Męczennica chrześciańska — ostatniej wyraz największej do nas przemówił, bez wątpienia i natchniony i znakomity mistrz tylko mógł stworzyć tę grupę — ale jest w niej coś, co grozi manierą Berniniego, — co nawet przypomina jego nieszczęsnych aniołów z mostu Rzymskiego i Św. Franciszka w podziemiach Assyżu.

Jeszcze słowo o wystawie nieustającej — (Genossenschaft der bild. Künste). Celuje ona kilką głów znakomicie pięknych, na czele portret damy przez Lembacha. Artysta ten dość ma sławy, mianowicie jako kopista, by go wysławiać potrzeba, dosyć znać jego kopię dwóch miłości z Tyciana', którą do prywatnej galerji hrabiego Schach do Monachium, w Rzymie (Borhese) skopiował, równie kopie, które dla tegoż zbioru z Hiszpanji przywiózł. Portret wymieniony, con amore w flamandzkim rodzaju traktowany, zastanawia swą wdzięczną prostotą, godną mistrza, co nie potrzebuje całej sfory niesfornych efektów. Jako studjum przepysznie też skopiowana z Rembrandta głowa staruszki p. Pentera. — Goebla aquarelle, Gunermana rodzaj, Wilberga połów ryb — cichy staw z łodzią — okryty mnóstwem pływających roślin, (20) studjum sympatyczne każdemu kto bliżej zna naturę, przypominające niepospolity pod tym względem, temiż roślinami i wodną ciszą celujący obraz Schirmera w galerji Lipskiej. Mały Eras Corregia (?), gdyby nieco mniej apokryficzny, miałby prawo domagać się gościnności w Belwederze. Osobny salon mieści kilkadziesiąt wzorów do pomnika Szyllera — niektóre bardzo piękne. Równie model gipsowy kolosalny, statuy Dürera, pojęty nec plus ultra, i drugi Michała Anioła słaby i przyzwoity — oba do frontonu tegoż gmachu przeznaczone.

Jeszcze — radzibyśmy choć słowo o życiu Polaków tutejszych nadmienić, — o ile z ustronia patrząc, pochwycić je można. Jest ich tu niemało — przejezdnych i stale osiadłych. Głównie młodzież kształcąca się, prawnicy, medycy, technicy, artyści — — schodzą się chętnie u ulubionego Dauma, gdzie znajdzież polskie dzienniki, a nieraz gorącą i poczciwą rozmowę o sprawach krajowych. . . . Na czele w tej garstce

polskiej liczemy ustronnie żyjącego profesora Duchińskiego, imię zbyt popularne i szanowne, by o nim cokolwiek śmieć dodać, żyjący w pracy ciągłej a cichej, z stoicyzmem o najzacniejszej, cześć budzącej tradycji emigracyjnej, pracuje p. Duchiński obecnie nad dziełem w języku niemieckim, dotąd nam nieznaném — wpływ jego teorij na ziomków przeważnie skonstatowany, tu głównie podnieślibyśmy wpływ na cudzoziemcach wywarty, rozbudzenie w znakomitościach francuzkich i niemieckich interesu dla naszych kwestij żywotnych. — Ku temu głównie przyczyniła się osiemnasta z jego konferencji (w Paryżu 1862) między innémi, oparta na własnym memorjale Katarzyny II. do ministra oświecenia, z przyczyny dzieła Strittera, dowodzącego że Moskale są Finnami, pisze tam sama Katarzyna 4. uwagi, które winne być umieszczone w książkach elementarnych — oto jej własne słowa:

I. Ce cerait un scandal pour toute la Russie si Vous admettiez l'opinion de Mr. Stritter sur l'origine finoise des Grands Russes.

II. Le scandal et la repulsion ne sont pas des preuves de peu d'importance que leurs origines sont differentes.

III. *Quoique les Russes diffèrent des Slaves naturellement, par les origines, vous ne trouvez pas entre eux de repulsion.*

IV. Mr. Stritter de quel pays est-il? Il a certainement un système de nationalité un profit du quel il de nature les faits prener garde a lui.

Autor pomnika Nowogrodzkiego, w kraju, z zapasami swej specyalnej wiedzy, z katedry mógłby z niemałą korzyścią odzywać do miłujących naukę, a chcących zbadać prawdę dziejową. — — Cichą też i skromną, ale znaną i uczciwą pracą odznacza się jego małżonka, zasilająca prócz tego swą znakomitą korespondencją Bibliotekę warszawską, nie dość u nas liczną, w porównaniu z Królestwem polskiem.

O młodzieży pracującej w zaciszu domowém, możnaby też niemało dobrego powiedzieć, kierunek zwykle wytknięty i cel poważny, niektórzy zamało ufni w swe siły lub zbyt lękliwi o wsteczne przeszkody. — Dla czego na przykład cichy pracownik jak p. Mar. S, bez posady i inicjatywy, biernie trzyma się na uboczu? nagromadził wytrwale mnóstwo materyałów krytycznych, filozoficznych i dziejowych, pragnął zająć się dziełem: „Historji cywilizacji w Polsce," dzieło wielkiej wagi, wymagające iście ogarnięcia i przyswojenia sobie całej wiedzy ludzkiej, — ależ ona mu już nie jest obcą — niechże raz wyjdzie z biernego stanowiska.

Czynnikiem wielkiej zacności wśród kółek młodych i szlachetnej inicjatywy jest niemniej p. Wac. D. i jako taki czynnik, bez wątpienia użyteczny, wróci jako człowiek samodzielny do prac krajowych. Znaleźliby się i inni, ale i tak lękamy się ubliżyć skromności tych — cośmy dotknęli, czyż nie lepiej na te smutne, a w moralistów szczepiących na wierzbie gruszki, tak płodne czasy, podnieść dobre, niż wciąż grzebać w ujemnych stronach społecznych. *Nolite sacra miscere profanis....*

Ernest B***

Nowe Książki.

Królewska para. Powieść historyczna, napisał Józef Trywdar Tretiak. Lwów. Nakładem Gustawa Brudnickiego 1871. 8. str. 110.

Są wieki i stany ducha, w których poezja nie kwitnie, jak są pory roku bez kwiecia. Nigdy może świat mniej do tworzenia poezji usposobionym nie był jak dzisiaj. Umysł ludzki i życie poszły temi tory, na których trudno się im spotkać z pieśnią i uczuciem co je tworzy. — Interesa i sprawy rzeczywistości uzyskały prawo obywatelstwa, pierwsze przedewszystkiem. Nawet tę świetlaną dobę młodości, która była jakby grzędą zieloną, której kwiecie uczucia i pieśni barwy malowanemi się rozwijały, zmieniono dziś — na zagon kapusty. Niema młodzieży — poezji niema. Poezja jest wyrazem pragnień i tęsknic, a któż dziś tęskni za czém prócz chleba i pragnie czego nad zaspokojenie potrzeb cielesnych? Co było natchnieniem poetów?? wiara — którą zastąpiło rozumowanie i anatomja — miłość którą zmieniono w rachubę—nadzieja, którą zabił fatalizm praw żelaznych. — I jakże po onym wieku spodziewać się by rodził poetów. Niebo zamknięte — ojczyzna zaparta — braterstwo zmienione w instynkt obrony podobien żarłocznym chuciom zwierząt leśnych... z czegóż snuć chcecie pieśni... To źródło, z których płynęło — wyschło. Nie rozgrzewa nas nic, nie roznamiętnia — sceptycy jesteśmy nie ino w rzeczach wiary, ale w rzeczach i trybach życia. — A przyszło to niespodzianie, z dnia na dzień zmieniając nam świat jak się mieni dekoracja teatralna. Akt pierwszy... wiosna — akt drugi.:. zima sucha...

Dotknęliśmy rękami skostniałemi samej głębi, na której obwijało się życie — i znaleźliśmy pod nią śmierć. Z nałogów przeszłość pozostały nam formy tylko tego co się pòezją zwało — naśladujemy je, aliści w nas wątku niema. Jesteśmy jako człowiek niemy co ustami porusza by mówił, lecz głosu wydać nie może.

Od czasu do czasu ozwie się pieśń — udatna, obmyślana, niby echo starych śpiewów — tylko — kwiatkowi papierowemu woni brakne... Łudzi on pozorem i barwą prawdziwego czegoś, a jest widmem i udaniem. Tak z poezjami teraźniejszej doby, jeśli nie wszystkiemi w ogóle to z większą ich częścią. — Chciwie chwytamy każdą, książkę, której forma zwiastuje odrodzenie uczucia — i po każdej niemal opadają nam ręce z rozpaczy — bo żaden z tych pierwosnków nie jest jeszcze wiosny zwiastunem... Zestarzał świat. — A baczcie też, iż ten brak poezji z brakiem młodości się schodzi. — Dzieci nasze są w dwunastym roku starsze od ojców, bo w nic nie wierzą, nie pragną, nie lubią nic, zawcześnie zostały wtajemniczone we wszystko i — plunęły na to, przed czém my biliśmy czołem — co dla nas szczęściem było. — Zbrojąc je na przyszłość bezpieczną, odjęto im szczęście. — Mistrzowie moraliści tak się lękali uczucia, marzenia, złudzenia — że zostawili suche tylko na pokarm kości. — Cesarz Aleksander powiedział do narodu który go chciał kochać — *Point des rêveries.* Ksiądz Kajsiewicz przestrzegał nas od marzeń w polityce, Stańczykowie znajdowali żeśmy też nadto rozmarzeni — zabroniono nam serca pod pozorem sentymatalizmu, uczono tabliczki Pythagoresa w miejscu miłości i wiary... pod ciężarem tych powtarzanych przestróg i naganiań do rozumu — uległiśmy. — Nie stało młodości i poezji — zamilkły usta i serca. — Sentyment i pieśń uznane zostały jako nieprodukcyjne fatałaszki.

Litować się też trzeba nad losem tych co dziś śpiewać chcą uszom, którym brzęk tylko jest miły. Pomimo to *vox clamantis in deserto*, ten wiekuisty protest przeciwko gniciu i psuciu się świata — zawsze się nad ruinami odzywa.

Mamy i dziś poetów — pieśń przerywa monotonję tego życia, którego mnzyką jest chrzęst kół wielkiej machiny... Z poszanowaniem też bierzemy do rąk każdy taki dowód wiary w lepsze czasy, lub śpiew dla — pokoleń przyszłych. — Myśmy jeszcze nawykli każdy owoc samoistniejszego uczucia jak drogą perłę pobożną ręką wygrzebywać ze śmiecisk wieku. Dzisiejsza młodzież zbywa te błyski czucia — szyderstwem.

Królewska para, która się skromnie nazywa powieścią historyczną, pragnęła być poematem i — zdaje się — zakrojoną była na szersze rozmiary. — Praca to godna bliższego przyjrzenia się jej w każdym razie, poważna, skromna, nie popisowa, nie błyskotliwa — a mająca w sobie wiele dowodów talentu i miejsc udatnych. — Autor wziął za treść do niej nader ponętną historją Zygmnnta Augusta i Barbary Radziwiłłównej. Feliński, Odyniec, Baliński, Niemcewicz, niezliczeni powieściarze i poeci próbowali na niej sił swoich. — We wszystkie formy przybrano ten śliczny romans rodzimy dziejów naszych, pełen barwy, pełen tragiczności i wdzięku. Lecz nic trudniejszego nad pasowanie się sztuki za zbyt udatnym wzorem — im zadanie pełniejsze, więcej wykończone w naturze, tém artysta chwytając je na większe skazuje się ubóstwo własne.

Siła jego twórcza niema pola popisu, zostaje mu nieledwie ustawienie gotowych postaci, powtórzenie słów gotowych. Tego rodzaju podania nawet swą myśl niosą z sobą, tak że i tej lampy płonącej w urnę wstawić nie można.

Materjał do powieści niesłychanie bogaty — nawet z niego jak ze starego gobelinu barwy nie wypełzły. Żywy stoi król Zygmunt August, Bona, Basia owa śliczna a dusznie i cieleśnie chora i owe Czarne a Rude Radziwiłły, i ów Twardowski i dwór i senatory i sejm a lud onego czasu. Możnaby z tego względu rzec, że to jeszcze nie dosyć umarło, ażeby w pieśni odżyć mogło... A nic ponętniejszego przy tém nad taki wątek bogaty. — Da się tylko iść i zbierać gotowe. Tu wszelako trudność, bo co innego dzieje, co innego poemat — rzeczywistość a pieśń. Dwa to światy, z których przenosić ich postaci na przmiany, nie łatwo. Nie będziemy czynili zarzutów poecie z tego, iż niektórych barw miejscowych zaniedbał, a inne w miejsce ich podstawił. Pałac Barbary stykał się ogrodami z królewskim zamkiem w Wilnie, furta je z sobą potajemna łączyła, konno nie mógł tam król przejeżdżać. — Drobnostka to, ale rażąca tych, w których oczach tkwi owa znana miejscowość. Scenę przybycia Augusta do Krakowa do zwłok ojca tak pięknie opisał Górnicki... jako matka i siostry hołd mu królewski oddając, pierwsze do nóg upadły płaczące — swemu panu. Czemuż to poeta ten rys opuścił a natomiast zwłoki ojca z pożaru wynosić kazał na ramionach? Wreście ta poetyczna parafraza mów sejmowych, piękna jest a zbyteczna w poemacie. — Szczęśliwszym wynalazkiem może owo półdjable weneckie ... ależ jak ono wśród tej rzeczywistości innych figur, blado i byronowsko a nie polsko wygląda.

Plan tedy powieści poematu cale ułomny, miejscami zda się coś obszerniejszego obiecywać, w tém nagle skurczony, tu w ślady idzie za djariuszem, tam w sny i fantazje ucieka. Jedna część nie harmonizuje z drugą, całość szzytą jest a nie całą.

Natomiast gdy do wykonania przyjdziemy, trzeźwości poety, pokrojowi klasycznemu często szczęśliwego wiersza, wdzięk owi jego trzeba słusznie oddać pochwały. Szczegóły są piękne - ton utrzymany dobrze jeden, pracę czuć i talentu zaprzeczyć trudno. Tak w pierwszej pieśni, mówi Barbara:

Bo wiedz, że jestem, jako lilja ssąca
Wody strumienia wśród ciszy gorąca

Gdy strumień zmieni koryto, odpłynie,
Lilja więdnie, usycha i ginie.
Gdy ciebie długo nie ujrzę — to zginę.

Tak w pieśni czwartej piękny jest ustęp:

Tak stoją pośród wielkiego ogrodu
Lipy praojców ręką zaszczepione, (?)
Mieszając wierzchy wdzięcznie nachylone,
I tworząc gęste sklepienie zielone:
Wśród młodszej braci poważne, spokojne
Wysoko wznoszą swoje czoła strojne,
I miłą niosą od słońca ochronę,
I oku widok podają wspaniały,
I pokarm pszczołom — więc miód doskonały.
. . . .
Ale o hańba drzewom staroświeckim,
Kiedy ojczystych zaniechają soków!
Bo nie zasilą się żadnym niemieckim,
Ani francuzkim pokarmem z obłoków.
I próchno w sercu zawita pod korą,
I przyjdą wiatry — i wszystko zabiorą
Co im należy — na próchno gdy wpadną,
Połamią pyszne drzewa i pokładną,
Przelecą po nich — rykną i przepadną.

Taki jest opis udatny owego chłopięcia włoskiego — Giano, które do Twardowskiego po truciznę przybywa (Pieśń V.)

Z małej postaci rosną formy przednie,
Nienaruszona kształtów doskonałość,
Owalnej twarzy przezroczysta białość
Nad czołem bujne kruczych włosów skręty,
A w oczach świecą skrzące djamenty.
W migdał oprawne, jako strzała lotne,
Jak przepaść czarne, jak ogień migotne.
Płysną — w rozkoszne zaraz tonąc męty —
Na ustach uśmiech drga dziwnej ponęty........

Tak śliczny wiersz co kończy poemat...

Sam Pan tu wstąpił w cichym majestacie,
I w proch się przed nim ziemska kładnie chwała!

Wszystko to mile brzmi i dźwięczy i obrazuje szczęśliwie — a mimo to powieść jest raczej całą dziełem rozmysłu chłodnego, niż rzeczywistego natchnienia. Obok poetycznych obrazów, deklamacji zbytek, słów a pathetyzmu za wiele; poemat jest nie zupełnie udaném dziełem kunsztu, — dziełem poetycznego żaru a tchnienia nie jest. Nie powiemy zaprawdę po tej próbie, ani po zbiorze, który się zwał — Z pogańskich światów, ażeby z tej larwy nie miał a nie mógł wylecieć jeszcze motyl złotoskrzydły — *poetae nascuntur*, lecz się nie objawiają od razu cali i pełni, muszą się często przedzierać z opasującej ich skorupy... i rozbijać tę łupinę, w której na świat przychodzą...

Dr. Omega.

Irena, czyli chrześcijanie za Domicyana. Powieść oryginalna przez M. G. Kraków. Nakład. księg. wydawn. Dz. katolickich Wł. Jaworskiego. 1871. 8. 247 str.

Zdarzyło się pewnie nie jednemu z czytelników naszych przebiegając galerje, spotkać z obrazami flamandzkiej lub hollenderskiej szkoły, wystawującemi sceny z dziejów biblijnych lub historij kościoła. — Można w nich często znaleść wiele uczucia, wyrazu, zręczności w ugrupowaniu i kompozycij, w światłach i barw rozkładzie, a mimo to czujemy, że te typy flamandzkie nie przystają do świata, który wyobrażać mają, że to akcesorja raczej domyślone, niż studjowane są z innego wieku, że samych postaci ustawienie, akcja, obyczaj i inną epokę zwiastują. Obraz może być pięknie malowany, przecież choćby uśmiechu nie wywołał na usta, nie wyrwie też łzy i nie poruszy ducha. Dla czego? bo artystycznej prawdy w nim nie ma, bo żywioły z których stworzono to widzenie przeszłości, nie wszystkie do niej należały, bo wewnętrznej harmonji brak między treścią a ciałem, między pomysłem a formą. Doskonałości zaś artystycznej ten jest warunek przedni, aby wnętrzna istota z postacią zewnętrzną w jak najdoskonalszej spójni zostawała. Dzieło sztuki lub się musi o to ubiegać i gonić za tém, lub nie ma przyczyny bytu i pozostaje niewytłomaczoném zjawiskiem. — Gdy nam autor tej książki w końcu jej, skromnie wyznaje: „Obrobieniu samemu zbywa na klasyczymie, i darmoby w niem czytelnik szukał uczoności, lub wszechstronnych zarysów świata rzymskiego za Domicyana. Nie to było celem naszem: My tylko we wszelkiej dobrej wierze i prostoduszności z tém przychodzim na co nas jakkolwiek stać z łaski Boskiej, t. j. z wizerunkiem kilku postaci męczeńskich, których wnętrze i uczucie radzibyśmy echem odtworzyć bogdaj w jednem z czytelników naszych.“

Cel więc był ku zbudowaniu tylko — chociaż forma obrana, artystycznych wymagała środków. — Lepiej więc za prawdę było z tą summą nauki i wiedzy, bo tej w księdze dosyć się znajdzie, napisać krótką historję prześladowania Dyoklecyanowego, niżeli niewykończoną powieść, w której do prawdy domięszano owoców a raczej kwiatów wyobraźni. — Sam autor z dobrą wiarą przyznaje iż wiele, nawet główną postać powieści, Irenę, stworzył dowolnie i sacra profanis dołączył, cudnej czystości wizerunki Domicylli, Klemensa, Jana i t. p. W pomyśle więc ogólnym dzieła tkwi główna wada jego, acz przykładami mnogiemi poprzedników rozgrzeszona.

Nader trudny sąd o takiem opowiadaniu historycznem, na pół zmyślonem, w którem obok najtroskliwiej opisanych uczt rzymskich, są obyczaje, rozmowy i szczegóły nie tylko nie klasyczne, ale całkiem fałszywe, a nadewszystko bije i razi pojęciami naszego wieku zaprawna, całe doń w najmniejszej rzeczy niepodobna przeszłość. Mijamy drobne szczegóły, dowodzące nie dostatecznego zbadania obyczajów pierwszych chrześcian, jak naprzykład kilkakrotne wspomnienia o wizerunkach ukrzyżowanego, których w onym wieku kościół nie miał jeszcze. — Rażą szczególniej idee dzisiejsze narzucone wiekom pierwotnym, obroty myśli, rozumowania, język niewłaściwy... Gobeliny za Domicyana odbijają, jak anachronizm, choćby *aulaca*, *opus plumarii* i *artificis*, rzecz ale nie imie usprawiedliwiała. — Autorowi mimo tego co sam o sobie mówi, na uczoności nie zbywa, nie brak mu umiejętności zbudowania bardzo kształtnego samego rusztowania — ale brak mu zupełnego przejęcia się epoką, którą odmalować postanowił. Nie umiejąc się sam przenieść w nią, ją wolał przesadzić w czasy własne. Daru tego intuicij, który wybranym da.y jest — właśnie największy brak czuć się daje.

Człowiek zapewne zawsze jest sobą, a Homerowi i Hezjodowi i Mahabaraty ludzie nie wiele są od dzisiejszych odmienni, zaprzeczyć jednak niepodobna, że myśl bodaj taż sama przyoblekała szaty różne, kształty przybierała odmienne, że się do rozmaitych wysokości podnosiła i że będąc sobą do nieskończoności odmienną się przedstawia. Czytając greckich pisarzy, naprzykład Platona, nie język w nich stanowi trudność, ale sam pochód idei, rzekłbym forma myślenia, sposób w jaki się myśl objawia; zarazem naiwniejsza i zatroskana o się, by jasną była, choćby nią była do zbytku. Każdemu ktokolwiek owoce różnych wieków myśli ludzkiej nawykł studjować, nie obcą jest ta różnica fizyognacij, nie powiem stylu, lecz logiki samej... W usta bohaterom Homera nie podobna włożyć rozmowy salonu pani Récamier, ani Molierowskiej komedij przesadzić na Aristophana.

W Irenie uderza to właśnie, niestósowność nie tylko języka zbyt przesiąkłego nowém życiem, ale pojęć późniejszego chrześciaństwa przeniesionych na pierwotne.

Pierwsze te wieki przedstawiające pół — boży, pół — ludzki dramat, genezę nowej wiary, wykwitającej z krwi i prześladowania, są tak nęcącem zadaniem, iż się bynajmniej nie dziwiemy, gdy je kto pochwyci by na nich odtworzyć co mu wyobraźnia wypełniająca tejemnicze ich próżnie, poddaje. Ani też za złe można mieć autorowi, że się o to pokusił, mając aż nadto starczącą znajomość starożytności, by na tle jej z pewną prawdą malować cudne wizerunki męczeńskiego żywota. — Nie chciał tylko może umyślnie przypuścić i różnicy idei i obyczajów, by tym wierniejszym pozostać zasadzie, którą wyznaje dzisiaj orthodoksija nowa — iż postępu niema wcale i jest niemożliwym.

Bardzo szczęśliwą jest *fabula*, wzięta z żywotów męczenników za Domicyana, a dotkana własnym wynalazkjem. — Postać Agricoli odznacza się szczególną prawdą, szczególnym wdziękiem Virginji i Domicelli, oryginalnością żywą Ireny. — Nie zbywa i innym na charakterystyce, chociaż nie zawsze tylko świeżej, bo w tym świecie powieściowo-historycznym trudno dziś o nowych ludzi, tak wszystko zużytkowane i zużyte zostało. Domicya i stosunkowo mniej jest wybitny a podobien wszystkim tym oszalałym siłą swą Cezarom Romy, którzy się chwilową wszechmocnością bawili, jakby chcieli dowieść, że ona dla człowieka stworzoną nie jest. W malowaniu scen obmyślanych dobrze, nie zawsze szczęśliwym równie jest autor. Tak uczta u Agricoli piękną jest i wykończoną dosyć częściami, w części zaniedbaną, tak niepełną i ułomną druga — Klemensa u łoża umierającej staruszki — i wiele innych. Wszędzie osnucie bardzo śmiałe i dowodzące rozmysłu a znajomości warunków sztuki w budowie, gdy wykonanie całe jej nie odpowiada. Z najlepszą chęcią przeniesienia się w czasy Domicyanowe, czytelnik przenosi się mimowolnie w teraźniejszość, i nie wie już kędy jest.*

Nie na barwie zbywa, bo ta troskliwie jest zachowaną, a miejscami przypomina praktyczne antiquitates dla młodzieży — zbywa na pewném delikatniejszém poczuciu prawdy artystycznej. Poczciwy Rej tak czasem na swój sposób starożytny swiat malował i takie mu wyrażenia kładł w usta.

Uwagi powyższe nie ujmują dziełu stokroć jeszcze wyższej wartości nad powszednie bezmyślne powiastki, sklejone z życia dzisiejszego, a do żadnego nie podobne.

Tu przynajmniej naukę, pracę, usiłowanie widać stworzenia części coby zarazem miało wartość pomysłu i artyzmu, choć ostatniemu zadość nie uczyniono; tu charaktery postaci i przedmiot obrany szlachetniejszą dążność znamionują i miłość czystych ideałów. — W zarysach tych postaci jest wiele poczutej, choć niedokonanej piękności. Być może nawet iż dla pewnego czytelników koła, mniej wybrednego smaku, Irena będzie się wydawała żywszym, lepiej do nich przemawiającym obrazom, niż Fabiola nawet i Kalista; znajdą bowiem niby swój znany świat, mowę i

* Tak rażą w owe wieki przeniesione improwizacje na uczcie Ireny, Maurycego i t. d., całkiem do pojęcij Rzymian charakterem i kształtem niepodobne, a obok sama uczta z troskliwością antykwarjusza mozolnie opisana.

ideę i łatwiej go zrozumieją. W literaturze naszej dzisiejszej tak rzadkiem jest zjawiskiem coś, coby studjów wymagało i szerzej było opracowaném, iż Irenie, pomimo niezupełnie udatnej formy, należy przynajmniej szacunek uczciwej, z myślą zacną i sumiennie podjętej pracy.

Dr. Omega.

Światek Boży i życie na nim, przez Szczęsnego Morawskiego. Rzeszów. Druk i nakład J. A. Pelara. — 1871. str. 224. 16-ka.

Rzecz to dziś wielce osobliwa i rzadka, książka, któraby się z jakichkolwiek bądź względów oryginalną nazwać mogła. Wszyscy dziś, bez mała, pisać umieją i wszyscy prawie jednakowo piszą. Szczególniej w literaturze powieściowej, gawędach, opisach . . . styl, forma, dowcip, jakby na jeden wzór wykonane, z pod jednego młota wyszły.

Jenjalny M. . . ., znakomity B—, utalentowany X. . . . piszą jak rodzeni bracia, myślą jakby z pomocą jednej machiny umysł ich był w ruch wprawiony. — Zasobu oryginalności przebrało się widocznie, lub nikt nie śmie być sobą, a każdy woli być ogólnikiem — wszyscy chodzą z jedną twarzą, w jednej sukni. — Ci znowu, co oryginalnymi by być radzi, bywają często tylko śmieszni lub niezrozumiali.

Wola nie jest bodźcem tworzącym oryginalność, — gdzie nie ma w charakterach materjału, nie stworzy jej wysiłek żaden. — Co najwięcej uda się być chorobliwym dziwakiem, — na to potrzeba Bożego daru, by rzeczywiście oryginalnością się jakąś odznaczyć.

Książeczkę, którą mamy przed sobą, właśnie to cechuje, iż nie jest do innych podobną, wyszła z pod pióra nie literata, który pisze jak czuje, nie naśladuje nikogo i ma — niewiedząc nawet o tém, styl i formę oryginalną. Mało tu z papierów wziętego, więcej z życia, gdy pospolite książki tworzą się właśnie więcej z papierów, niż z żywota. Z przeżytego, widzianego, wybadanego po starych aktach (a te już przestały być papierem, bo są relikwiją) — wysnuły się te opowiadania, jakby przy przy kominie w gronie dobrych znajomych, nie troszcząc się o resztę Bożego świata . . . wyszeptane długiego, zimowego wieczora. Znać w niej człowieka, który przez zbytek otarcia się w świecie, nie starł z siebie, czém go natura uczyniła. Trudno też z przerozmaitej treści zdać sprawę. Gawędy są brane z teraźniejszości, z przeszłości, z życia pospolitego, potocznego — ze wspomnień tych okolic, w których autor życie spędził.

Idzie przodem: Życie pospolite — Dał Bóg Radę powiatową — Pożytki — i kłopoty. Radzca w mieście, — Rada wiejska. . . . Fotografije z rzeczywistości wierne, jakoby się było w małém miasteczku galicyjskiem, tym przedpotopowym zabytku życia innej epoki. Mieszczanie, wieśniacy, jak ich Bóg stworzył a rząd austrijacki oświecił. Za komiczną stroną obrazu występuje czarne tło jego.

Scena z życia potocznego — Stefanko Kurant, to cały monodram, któryby dobry artysta mógł zużytkować na scenie, tylko by go z talentem odegrać. Cóż powiedzieć o historji galicyjskiej ropy i nafty, która porywa i zajmuje jak najciekawsza powieść? Wyborne też są obrazy z Tatrów, z przechadzek na szczyt Łomnicy, z życia w Szmeksie.

Małe te obrazki przypominają domowym kozikiem wystrugane figurki, pełne życia i fizijognomij — w których brak sztuki jest najwyższym artyzmem.

Wszędzie miasto naszego języka, straszliwie wytartego i zużytego po dziennikach i książkach — język jakiś świeży, skąpany w góralskim, ludowym, zahartowany staro-polskim . . . inny a nie dzisiejszy, a wielce nasz i polski bardzo.

Ze wszystkiego wszakże, co ten tomik zawiera, najciekawszy obrazek, z osobliwszym nakreślony realizmem, Napierski na Czorsztynie, historja z r. 1651. Przeszłość występuje w nim nie tak wystrojona jak na ucztę do historycznego romansu, ale w powszednim dreliszku i taką sobie naturalną, a nieco ostrą a wyrazistą i dosadną jak była. — Czuć, że to tam tak się właśnie dziać musiało. Owi Łętowscy, Krupa, ów Gosłowski, one goralki i Hanka — gdyby żywe. . . . Napierski, który cudze imię przybrał, a wprost burdę zrobił zuchwałą, mimo to daje nam czuć, jakie to tam już wówczas społeczność naszą nurtowały prądy, jakie idee i jakiemi ona drgała konwulsyjnémi ruchy. Lud nawoływany na szlachtę w imię króla! — rusza się czerniawa . . . płynie. Chmielnickiego imię i rola oddźwięczają aż tutaj. Mała rzecz, a cała epoka się w niej maluje. . . . Obok świata szlacheckiego, dotąd jedynego, świat ludowy już na brzasku; i z jakim charakterem, — jakiemi wymaganiami! Właśnie z témi, z jakiémi rząd rosyjski wziął ruskie prowincje po r. 1863., aby z tego nasienia wyhodować Polsce nieprzyjaciół. Napierski nie stworzył tych prądów, ale je chciał zużytkować i process jego wykrywa nam dobitnie ich egzystencję.

Cały ten ustęp żywcem z akt różnych spisany, gdyby nieco jaśniej miejscami się przedstawiał, nie zawadziłoby. — Błąkamy się wśród tych przeróżnych nazw nieznanych ludzi, z którymi autor, jak z dobrymi znajomymi, obchodzi się bez wszelkiej ceremonij. — Ale w końcu wyjaśnia się wszystko. Oblężenie Czorsztyna, wydanie Napierskiego, testament Łętowskiego, wielce zajmujące, bo prawdziwe niezmiernie. Żadnych kwiatków . . . prosta a naga prawda: „Osądzono Kostkę (Napierskiego) na pal wbić, marszałka ćwiertować, klechę ściąć na Krzemionkach za Kaźmierzem. . . . I musieliśmy dać nowe dębowe szubienice troiste. Z Bierścia daliśmy dęby ściąć i pal sosnowy, na koniec ostrze daliśmy zrobić. A tak wyprowadzono ich na śmierć 18 Lipca, we Wtorek przed południem. Kat Szymek nie umiał pala weń wbić, po kilkadziesiąt razy weń uderzył, nim pal przeszedł przezeń. — Marszałka ściąwszy, ćwiertował. Klechę ściął, ciało syn uprosił do pochowania, a głowę przybito na szubienicy; szaty wzięła piechota miejska krakowska i zbierana zamkowa.“

Tak się kończy ta straszna w prostocie swej historja.

Pełno szczegółów jakich by poeta nie stworzył... Zboje z pod Bardijowa, taki list szlą po osądzeniu z nich kilku do Bardjowian... „Wy zły a niesprawiedliwy ludu bardjowski, wyście naszych braci dali wywieszać, ludzi dobrych a niewinnych, a to morderstwem nie cnotliwym — tych, którzy ani nam, ani żadnemu nic nie byli winni, a przetoż — jeśli nam przyjaciołom a rodowi ich, za nich nie położycie czterysta złotych we złocie do dwóch niedziel w klasztorze u mogiły u Krakowa, albo u kartuzów w Lechnicy, tedy na waszych gardłach i na waszém mieniu i na waszych poddanych, czy później, czy prędzej, tak się mścić będziemy póki naszego rodu stanie. Ten list pisany z gór, w dzień świętego Jakuba.“

U spodu narysowane: szabla, miotła miska nad żarem, muszkiet z podpałką. Pod tém nazwiska grodów — Orawa, Murań, Dunajec, Sanok, Rymanów, Przemyśl (gdzie najmniej złójców poginęło.) Niżej jeszcze wyobrażona szubienica z trzema wisielcami. Wiszą hardo w boki się podparłszy, czapka na uchu u jednego — nad szubienicą napis — krew niewinna. Z boku jednego napis — Tymko niewinny — z drugiego klęczy zbójca z głową uciętą, nad nim napis — Wojko niewinny.

Zamiast pieczątek lakowych, sześć dziur wypalonych w papierze. Miasto pieczęci przywiesistych, dwie różeczki wiszące na nici.

Ten ciekawy dokument z XVII. wieku zachowuje się w oryginale, w skarbcu miasta Bardyjowa. Mnóstwo równie zajmujących szczegółów wyczerpnął pan S. Morawski z akt (ablatorum) w grodzie krakowskim, z rękopismu Pinozzego w skarbcu miejskim Krakowa, z biblioteki Ossolińskich i t. p. Światek Boży, jest wśród teraźniejszej posuchy, bardzo pożądanym podarkiem, ale kiedy na okładzinie stoi I., niechże przyjdzie II. III. i dalsze. — Czekamy.

Dr. Omega.

Klaudia. Skic dramatyczny we dwóch aktach Wł. hr. Koziebrodzkiego. (Odcinek „Kraju“).

Są pory na kwiaty i są doby na pewne literatury rodzaje; buja czasem powieść, niekiedy lira, to znowu dramat i epos . . . przychodzi to tak samo w piśmiennictwie jak w ogrodzie przez słońce, rosę, wpływy wewnętrzne, które z łona ziemi wyprowadzają to na co wybiła godzina. — Chociaż ludziom się zdawać może iż oni stworzyli kierunek pewien, nadaje go przecież prawo, które rządzi wszystkiem. Ani jeden listek, ani świstek nie rodzi się samowolnie, a jeśli pierwiosnek Mickiewiczowski wejdzie zawcześnie lub rozkwitnie za późno, zgaśnie od mrozu lub upałem zwarzony, szukać przyczyn prawa tego zadaniem historyka literatury, bo ono jest w związku z innemi fenomenami życia, i niemi się tłumaczyć daje. Krytyka właściwa zapisuje zjawiska, klassyfikuje i ustawia. Ona w tych kwiatach liczy liście i bada barwę, którą im dał cień lub promień, ziemia lub rosy kropelka. . . Dla czego dziś tak widocznie przed innemi u nas rozrasta się dramat, czemu żywsze są teatra niż książki, skierowana ku nim uwaga i zajęcie, byłoby pytaniem nader ważném do rozstrzygnięcia, gdyby może zawczesném nie było. Jako spełniony wszakże fakt zapisać należy, iż stosunkowo do innych utworów literackich i utworów sztuki dramat się u nas z pod warstwy zeschłych liści, któremi ziemia przysypana, gwałtownie dobywa nad ziemię. Przyszła nań godzina.

Od chwili gdyśmy obchodzili narodziny teatru polskiego za Bogusławskiego i Niemcewicza, przedłużone przez Felińskiego, Wężyka i Osińskiego — teatr nigdy tak żywo nie zajmował piszących i słuchaczów. Najmniej dotąd zajął on krytykę. Z wyjątkiem poważnych rozbiorów dramatów Słowackiego przez Małeckiego, nie mamy nic coby na krytyki imię zasługiwało. — Tym czasem, co lepiej dla przyszłego anatoma, bogaty przysposabia się materjał. Historja teatru nowego rozpoczynająca się sejmem czteroletnim, bez przerwy ciągnie do dni dzisiejszych, coraz rozwijając w szerszych ramach. — Epokę w niej stanowi Fredro ojciec, zwrot Korzeniowski, fenomen Słowacki — a to co nam dają teatra dzisiejsze, nie jest też bez znaczenia. Pragnieniu nowości nienasyconemu musieliśmy sprowadzanemi pastelami dogadzać, od których trochę niestrawności przyszło. Smaczne to, ale na nasze żołądki nie zbyt zdrowe. Tém też baczniej śledzimy co się w domu stworzy. A choćby ono przebrało się w strój obcy, domowe zawsze jest naszém.

Ostatniego konkursu dramatycznego owoców nie znamy jeszcze, — wiemy jednak, że był owocowym... Galicyja sama najobficiej w tej chwili dostarcza pisarzy dramatycznych, Fredro syn, Starzeński, Urbański, Bełcikowski, Narzymski, Skiba, Bałucki, Małecki, Koziobrodzki. Ma to swe znaczenie. — W Poznaniu, gdzie budują scenę narodową, domorosłego dramatu nie znajdują... Tu życie skupia się w stowarzyszeniach, objaśnia w szkołach, tętni w walnych zgromadzeniach i świetnieje w bankach...

Tu nawet teatr ma zasadniczo mu przeciwnych, którzy czekają aż go dijalogi OO. Jezuitów oczyszczą *ad usum delphini.* Warszawa mocno się zajmuje sceną, ale tu działalność pisarzy, tamuje czerwony ołówek i samowola, której sama groźba paraliżuje natchnienie. — Dramat już z tego powodu, że widocznie przewaga w tej chwili i objawia pewną siłę, zasługuje na baczność szczególną. Teorije jego są nam prawie obce — samouczkami jesteśmy i tworzym sponte, nie troszcząc się o warunki... może tak lepiej, a przynajmniej więcej w tém obiecującej się oryginalności. Rodzi się tedy wiele różnego i bardzo ślicznego, i wielce niefortunnego i na fałszywą nutę.

Za jedną z tych nut fałsznych, mamy jaskrawość dramatu i złe pojęcie akcij, o którém wielekroć mówiliśmy. Teatr nasz szczupłą

mając garść widzów, istotnie wykształconych, gonił i goni po troszę za efektami od siekiery, za jarmarcznemi obrazkami czerwono- i sinonamalowanemi; ztąd niesumienna owa żądza mniemanej akcij pojętej jako chodzenie po teatrze, machanie rękami a czasem i kijem. Akcij! wołali krytycy,.. bo słuchacz się nudzi! Tak! lecz słuchacz który słuchać nie umie tylko patrzeć i potrzebuje akcij rąk i nóg zamiast akcij uczucia i słowa — jest to niedorosła istota... której marjonetek aż nadto. — Szukając tej akcij a wstrzemięźliwości słowa, zabrnęliśmy niemal w pantomimę... Szczęściem że się zawracać zaczynamy, a za tego zwrotu szczęśliwe znamię, między innemi liczę i piękny dramat hr. Koziobrodzkiego o którym mówię.

W Warszawie i Krakowie lepiej słuchać już umieją, słowo oceniać, chwytać odcienie gry, wartość pojęcia artysty, rozmaitość w przedstawieniu jednej roli przez różnych aktorów... W Poznaniu uczy się tego publiczność i nauczy, we Lwowie jeszcze panuje melodram, jeszcze króluje machina, jeszcze owa sławna akcja jest artykułem wiary dla pisarzy i dyrekcji. Widziemy to po sztuk wyborze i po ich ocenieniu przez krytykę. Tu trzeba jaskrawości, dowcipu mocno przesolonego, pieprzu sporo, a choćby nawet czosnku i cebuli, byle podniebienie rozbudzić. — Fredro syn grzeszy w Drzemce, Piosnce wujaszka i Posażnej jedynaczce tą ofenbachjadą dowcipu jaskrawego. — Arcydziełem jest Przed śniadaniem... Komika i budowa jego komedji wyborna, ale jakże im daleko do jenjalnego wykończenia ojcowskich komedji, do smaku i miary odludków. Nikt mnie nie zna. Pierwszej lepszej i t. p. Im rzeczywistszy talent wziął w spadku po ojcu, tém surowszych słów prawdy, mniej mu oszczędzać potrzebujemy. Czasem aż nam było dziwno, że człowiek tak wykwintnego wychowania i towarzystwa, że Fredro takie typy mógł wybierać i takie w ich usta kłaść dijalogi... Koloryt przestrasza niekiedy... Mówią... perspektywa teatralna wymaga, słuchacz potrzebuje dobitności... lecz... czyż dla tego ma być tak czerwono, zielono i żółto? Słuchacza pisarz dramatyczny powinien być nauczycielem a nie sługą, gdy mu zbyt dogadza poniża się.

Hr. Koziobrodzkiego znamy już kilka prac, które na uznanie krytyki zasługują, jako obmyślane, poważne i widocznie z zastanowieniem nad warunkami scenicznemi pisane. Jest to talent, który szuka sumiennie drogi i czuje w sobie siłę do jej przybycia. Taką próbą, bardzo udatną jest Klaudia obraz osnuty na tle nadzwyczaj prostem, na temacie na pozór z użytym, szczęśliwie od świeżonym i — bez morałów na wstędze... dramatycznie wykazującym, że nie wszystko miłości, a raczej namiętność poświęcać się godzi. — Prostota budowy nadaje jej wdzięk wielki... wyrazistości, która czyni wrażenie potężne. Nie ma tu ani intrygi zawikłanej, ani poszukiwanych efektów, uczucie rodzi sutuacje, a one tworzą dramat, do którego sprężyn niepotrzebował dodatkowych autor... Serce ludzkie... słabości człowieka... obowiązki... dostatecznym dlań materyałem, wykonanie stanowiło o dramacie — forma jest kunsztowną i starannie acz bez przesady wydłutowaną.

Rzecz dzieje się w VII. w. we Włoszech. Jesteśmy w pięknej villi nad Lago Maggiore; w pierwszej scenie znajdujemy bohaterkę dramatu, u której nóg roznamiętniony kochanek, Klemens, śpiewa odwieczną pieśń miłości, nie tej miłości, jaką pałał Dante dla Beatrycy, lecz taką raczej, jaką z obyczajów wieku odmalował Boccacio w Dekameronie. Piękna Klaudia jest żoną bogatego kupca Genueńczyka Rodryga, który opuścił ją na długo, popłynąwszy za morze... Rodryg jest stary, Klaudia młodą, rozmarzoną, spragnioną życia. Pozostała samą, i dziecię, młodziuchna Rita, córka Rodryga, ukochana, nie potrafiła osłonić matki od niebezpieczeństwa... Klemens objął ją żarem miłości młodej, namiętnej, zmysłowej — upadła. W pierwszej jednak scenie spotykamy ją już ostyglejszą, już skruszoną, przelękłą, bolejącą. Napróżno kochanek usiłuje ją namówić do ucieczki; głos dziecka, który jest głosem obowiązku i głosem zgryzoty — ściska jej serce..... Chwile szału minęły dla niej. — On kocha..... — ona boleje. — Gra uczucia, zapasy miłości z obowiązkiem, stanowią cały wątek, aż nadto starczący do uczynienia obrazu przejmującą dramatycznym i do tragicznej podnoszący się boleści. W chwili gdy Klemens namawia ją do ucieczki, chociażby z dziecięciem, gdy ona wspomina dobroć męża zdradzonego, mąż powraca szczęśliwy, nie domyślając się niczego i kontrast jego szczęścia z tą niedolą, którą w domu znajduje, stanowi jednę z najdramatyczniejszych scen szkicu. Wszystko to rozwija się łatwo, prosto i szczęśliwie Wśród marzeń o szczęściu kupiec spotyka Klemensa, który roznamiętniony rzuca mu w oczy swą miłość, wyznanie. Na pozór jest to gwałtowna sytuacya, ale psychologicznie zupełnie usprawiedliwiona, tak musi rzucać się namiętność... Scena z kochankiem, z żoną dochodzi do największej potęgi. Rodryg odpycha niewierną, która umiera z boleści... Charaktery kobiety, kochanka, starego zacnego męża, pojęte wybornie i przedstawione logicznie. Moglibyśmy w Klaudyi żądać, jako usprawiedliwienia przeszłości, choć chwilowego zwrotu do tego uczucia, które spowodowało upadek. Tego jednego zdaje się nam braknąć, czujemy potrzebę serca, aby usprawiedliwiło błąd. Gotowiśmy zrzucić go na zmysły, co nam zajmującą postać Klaudyi do pewnego stopnia z uroku odziera. Historycznie jest to wielce prawdziwem we Włoszech i w XVII wieku, artystycznie pragnęlibyśmy tego odcienia jeszcze, aby módz zaboleć nad nieszczęśliwą. Klemens jest typem miłości młodej, namiętnej, samolubnej, która nasycenia tylko pragnąc, poświęcić się nie umie, a wymaga aby się jej poświęcano. — Wprawdzie uczucie to, a raczej szał od niepamiętnych czasów miłością się zowie, nie mniej trudnoby mu dać to nazwisko, po sumienniejszem rozpatrzeniu się w naturze jego. Pojęcie w ten sposób kochanka, z celem sztuki zupełnie jest zgodne. — Rodryg tem szlachetniej przy nim wygląda, ze swą powagą, smutkiem, czułością, dobrocią, ale zarazem nieubłaganą ideą czci i obowiązku. Po historyi pereł, którą opowiąda żonie, można by się wszakże po nim spodziewać przebaczenia. Autor byłby łatwo mógł dodać, gdy Helena pozornie umiera, gdy Klemens oszalały ucieka... przebudzenie omdlałej i ostatnią scenę miłosierdzia, zgodną z charakterem męża, któraby szkic w sposób mniej tragiczny dokończyła. Zresztą dodatek proponowany mógłby jej odjąć może charakter niezbłaganego prawa kary nad winnemi. Obok tego czarnego tragicznego wątku przepleciony jest w sposób oryginalny gminny dramacik małżeński, komicznie a dziwacznie obwijający się o sceny namiętnego nastroju, Katarzyny służącej z mężem, o którego stara jest zazdrosną. Filip bałamuci się z młodą dziewczyną, a żona grozi mu, straszy i w ryzie go trzymając, daje sobie rady pięściami i zamkami. Cały ten szkic, zdaje się, łacno by na scenie, dobrze odegrany, uczynił silne wrażenie, i w czytaniu pozostawia po sobie uczucie wielkiej a bolesnej prawdy plastycznie ujętej.

Autor czuł potrzebę stylu, wyrobienia artystycznego, bez którego nie mają dramata trwałej ceny. Niektóre sceny są wielce poetycznie i z wdziękiem formy, dowodzącym rzeczywistego talentu, skreślone. Całość należy do najpiękniejszych utworów dramatycznej chwili. — Mogła być łatwo odegraną na scenie. Dr. Omega.

Rozmaitości.

Jenerał Bosak-Hauke długi czas bawił pod Zurychem, zostawił tam znajomych, przyjaciół i liczne grono Polaków, było przeto rzeczą bardzo naturalną uczcić pamięć szlachetnego rycerza Polski, obchodem żałobnym.

Hr. Plater, który go urządził, przesłał 19. Lutego zaproszenie do jenerałów i 380 oficerów francuzkich, znajdujących się w Zurychu, w którem wspomniawszy o bohaterskiéj śmierci Bosaka, poległego za Francyą, i o gotującym się hołdzie pamięci, dodał: „Śmierć ta jest nowym węzłem pobratymstwa od wieków istniejącego w złej lub dobrej doli, pomiędzy Francyą i Polską.“ Jenerał dywizij Feillet Pilassieri jenerał brygady Robert oświadczyli w imieniu braci oręża, jak najżywsze współczucie.

Dzienniki krajowe uwiadomiły publiczność o szczegółach exekwij, którym dzień 23. Lutego został poświęcony. Przed 10tą kościół zewnątrz przybrany w żałobne oznaki i tarczę herbowną rodziny hrabiów Hauków, zaczął się napełniać wojskowymi francuzkimi różnych rang; w przeciągu pół godziny zebrało się 1,200 osób; pomiędzy niemi starszyzna szwajcarska, kolonia francuzka w Zurychu i przeszło stu Polaków. Przed ołtarzem stał katafalk wspaniale przybrany, pośród rzęsistego światła ozdobiony sztandarem narodowym z roku 1863 z herbem Polski, wizerunkiem Matki Boskiéj i napisem B o ż e z b a w P o l s k ę. Sztandar ten przybył z Florencyi dniem przed nabożeństwem żałobnem i ofiarowany jest Muzeum historycznemu w Rapperswylu. Mszę solenną w assystencij dwóch kapłanów odprawił proboszcz Reinhard; do muzyki wokalnej i instrumentalnej przyczynili się znakomici artyści, pomiędzy niemi P. Małecki śpiewak z talentem.

Po mszy św. Dominikanin wielkiej wymowy i nauki, professor Arcueil pod Paryżem, O. Reynier, uczeń sławnego Lacordaire i wyznawca jego liberalnych zasad, przemówił do licznie zebranych. Wyszła ona w Zurichu u Fr. Schultess (pp. 9.-8. Jest do nabycia po 6 gr. sr. w naszej drukarni). Bardzo piękna swą prostotą i uczuciem miłości chrześcijańskiej, mowa ta zawiera między innémi następującą apostrofę do Polski.

„O Polsko, siostro ukochana, którą nieszczęścia uczyniły nam drogą, ku której nasze własne zbliżają nas widoki, jeżeli kiedykolwiek dzieciom twym na ziemi Francij naszej, chleb wygnania mniej się gorżkim wydawał, wypłaciłaś nam dług twój i więcej nadeń jeszcze zgonem tego syna twojego, którego krew za nasz kraj popłynęła... w śmierci tej, której opisy czytaliście, panowie przypomnę jeszcze towarzyszące okoliczności, abym jej wielkość wam okazał. Dnia 21. Stycznia jenerał Bosak wyjechał z Fontaine pod Dijonem ze słabą eskortą dziesięciu ludzi, dla obejrzenia swej brygady; skierowano się ku Hautville. Około tej wsi jenerał dostrzegł kolumny nieprzyjacielskie, o których zbliżeniu się nie wiedział. Nie ulękniony nie dał się tem zastraszyć, wysłał o posiłki do Dijonu, a tym czasem rzucił się naprzód, dając znak kompanij gwardij ruchomej alpejskiej, aby szła za nim. Wiecie resztę, panowie, młodzi żołnierze jeszcze do karności nie nawykli, a w liczbie szczupłej, zawahali się, rozpierzchli i Bosak, wkrótce otoczony, padł ze swemi walecznemi towarzyszami, drogo okupiwszy życie. — Śmierć dla sprawy szlachetnej jest zawsze bohaterską, ale tu otaczające okoliczności jeszcze ją wyżej podnoszą, bo ani obowiązek, ani drażliwość uczucia honoru wojskowego najdelikatniejszego, nie domagały się tego poświęcenia. Mógł ustąpić i oczekiwać na posiłki przed rozpoczęciem walki, któraby owoce przyniosła, tak, zdaje mi się, wskazywały i interes i obowiązki żołnierza; ale są zuchwalstwa chwalebniejsze nad najmądrzejsze manewry, a takiem było Bosaka. Ale czy to był krok zuchwały? — nie sądzę — i tłumaczę się. Jeślim dobrze pojął ten charakter nawskroś ofiarny, Bosak musiał głęboko czuć potęgę i wartość poświęcenia; nie leci się na śmierć nieohybną, bez nadziei, iż ona b ę d z i e p o ż y t e c z n ą, a nie ma ten wiary w tajemniczy owoc śmierci, kto nie złożył swych nadziei w najwyższym sędzim, który sam tylko ofiary dla spraw składane rachować może. O Boże mój! Ty coś raczył nam objawić potęgę ofiary, dozwalając umrzeć na krzyżu Boskiemu synowi twojemu, dla odkupienia świata, Ty to w dzieci Polski wlewasz też krew szlachetną, którą oni zawsze rozlewać są gotowi, za sprawy szlachetne i sprawiedliwe... i ty odrodzisz Francję naszą sokami płodnemi chrześcijańskiego poświęcenia.“ itd.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Józef Ign. Kraszewski w Dreznie. — Nakładem i drukiem J. I. Kraszewskiego w Dreznie.